NUMER 51. DNIA 18. GRUDNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Oportunizm i prawda.

Jak ludzie radzi walczyć paradoksami i jak one wogóle podobają się ludziom, świadczy przez znanego dowcipnisia napisany pewny fejleton, który cytowany został przez inne pisma w celu obrony oportunizmu przed prawdą.

Fejletonista ów zwrócił uwagę na oburzenie, jakie ogarnąć miało Francję całą, gdy jakiś tam nauczyciel gimnazjalny w Paryżu odezwał się na lekcji uwłaczająco o Joannie d'Arc. „Rząd, który sobie z Bogiem i z Rzymem dał radę“, powiada autor fejletonu, „karze zuchwalca przeniesieniem na rzekomo gorszą posadę“.

„Czy to nie śmieszne?“ pyta autor i odpowiada sobie: „śmieszne ale piękne“, „piękne jak każdy potężny odruch w obronie spotwarzonej przeszłości, w obronie bóstw narodowych, które całe szeregi pokoleń słusznie czy niesłusznie otaczały czcią i uwielbieniem“.

„Słusznie czy niesłusznie? — są bowiem prawdy, których mędrzec nie powie nikomu“. „Nie wolno narodowi odbierać wiary w to, co ukochał, nie wolno rozwalać ołtarzy bóstw, przed którymi klękał — choćby tego wymagała prawda mniemana historyczna, która prawie zawsze jest tylko względną“.

„Dlatego też ta obrona Dziewicy Orleańskiej jest świetnem świadectwem, że Francja nie pozbyła się ideałów, że chłód materjalizmu nie wyziębił jej serca, że epidemja użycia, choć toczy jej ciało, nie dosięgła jej duszy. Świetne świadectwo! — i przykład dla innych! — A dla nas szczególnie!“

Na tle tego obrazu, dzierzganego szowinizmem i oportunizmem, czyni redakcja pewnego pisma uwagę następującą: „Nie będziemy powtarzali tego, co fejletonista mówi o objawach systematycznego obdzierania z zasług, a nawet dobrego imienia, wszystkich tych, których uważać przywykliśmy za bohaterów narodowych, stwierdzić tylko musimy, że jest to destrukcyjna robota, świadomie, lub nieświadomie dążąca do zabicia w narodzie poczucia siły i godności własnej. Cały ten artykuł wygląda, jakby to była woda, pędzona na młyn oportunizmu najbardziej niesmacznego; bo wyobraźmy sobie naród, oddający cześć „Apisowi“; buduje on dla niego świątynie i ołtarze wspaniałe, ukochał swego boga-wołu, wierzy w niego etc. Otóż następnie znalazł się nareszcie człowiek rozsądny w tym narodzie, który powiada, że wasze bożyszcze jest prostym wołem, napróżno się modlicie do niego, klękacie przed niem, oddajecie mu cześć boską. Ślepota wasza, wyzyskiwana przez obłudników, jest przyczyną waszej ciemnoty, przetrzyjcie oczy i przekonajcie się, że was oszukują, wyzyskują etc“. W myśl fejletonisty, że „nie wolno narodowi odbierać wiary w to, co ukochał, nie wolno rozwalać ołtarzy bóstw, przed któremi klękał, choćby tego wymagała prawda“, ów człowiek wart potępienia.

Więc cóż? ukamienować tego, który oświadczył, że Apis jest prostym wołem; taki czyn będzie świetnem świadectwem, że wyznawcy Apisa nie pozbyli się ideałów, że chłód materjalizmu nie wyziębił ich serca, że epidemja użycia choć toczy ich ciało, nie dosięgła duszy“. Oto do jakich dziwacznych konsekwencji prowadzi szowinizm oportunistyczny. Aforyzm, że „są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu“, stracił na swojem znaczeniu, tak jak i aforyzm „że różczką Duch święty dziateczki bić radzi“. Duch święty zmienił swoje zapatrywanie

na kwestję i każe dzisiaj szlachetniejszych imać się środków wychowania, niż była i jest rózga; tak samo rzecz się ma i z prawdą. „Prawda nikomu nie zawadzi“. Fałsz oportunizmu jest najgorszą trucizną ducha. Naród, tak jak i każdy organizm, rozwija się, wzrasta, mężnieje; to, co było dla niego dobrem w powijakach, nie może być pożytecznem, gdy myśleć zaczął i myśleć potrafi, napróżno byśmy się starali cofnąć rozwój narodu i wtłaczać w skorupy jajowe jego wierzenia, dzisiejszą świadomość, pozyskaną przez wiedzę. Kto w chwili obecnej marzy o tem, że uczynić to potrafi, grubo się myli, i niech będzie przygotowany na niepowodzenie kompletne.

My nie mamy powodów wstydzić się na przeszłości, chociaż wiemy już dzisiaj, że przodkowie nasi nie wiele się różnili inteligencją swoją w perjodzie trzeciorzędu od małp człekopodobnych, zaszczyt nasz cały, zasługa w obec człowieczeństwa leży w tem, czem jesteśmy obecnie, modelować się na przeszłości jest grzechem, ideały nasze to przyszłość, a nie czas leżący poza nami. Bohaterowie narodowi będą dla nas zawsze drogimi pamiątkami przeszłości, ale to przecie nie przeszkadza, ażebyśmy ich nie mieli poznawać przy świetle wiedzy i prawdy; to nie jest przecież destrukcyjną robotą, ale przeciwnie konstrukcyjną, pierwszem mianem nazwałbym natomiast karmienie narodu ideałami przeszłości, w tem przekonaniu, że kult „Apisa“ mógłby wskrzesić dawną świetność Egiptu.

Ale takich przykładów, jak powyżej wymieniony, mógłbym przytoczyć całe setki, ażeby wykazać, do czego bylibyśmy dojść mogli, gdybyśmy usłuchali dowcipnych rad fejletonisty. Nie mogąc atoli tych wszelkich przykładów wymieniać tutaj, ograniczę się na jednym tylko. I tak alkohol i karty stały się bożyszczem narodowem; cała arystokracja i proletarjat cały, zgodnie choć w tym jednym punkcie, ukochali bóstwa swoje, więcej niż samych siebie, czego świadkiem i dowodem najlepszym jest fejletonista dowcipny, a tymczasem wiedza ścisła wykazała, że te bóstwa narodowe są bałwanami wielce szkodliwymi; więc pomimo pompatycznej obrony, augurowymi zwrotami przez fejletonistę wyłożonej, „nie wolno odbierać wiary narodowi w to, co ukochał. nie wolno rozwalać ołtarzy bóstw, przed którymi klękał, choćby tego wymagała prawda“, pomimo to powiadam: każdy rozsądny człowiek, kochający kraj swój, będzie się starał oświecać swój naród i przekonywać go, że bałwany nie są bóstwem, któremu się kłaniać wypada; a taka praca, z całą świadomością wiedzy dokonywana, nie tylko, że nie zabija w narodzie poczucia siły i godności własnej, ale przeciwnie podnosi je na wyżyny, których nie dosięgnie nigdy naród, trwający przy swoich bałwanach ukochanych.

Dr. B. Dybowski.

Jakób Caro.

Należy mu się wdzięczna pamięć i wdzięczne wspomnienie w duszy polskiego społeczeństwa. Żył wśród cudzych, działał wśród cudzych, ale w momentach najpotężniejszego rozognienia się antipruskiego szału ani na chwilkę nie wypuścił pióra z dłoni, aby niem wskrzeszać przeszłość naszą, przeszłość daleką, rozbrzmiewającą wielką chwałą narodową. „Geschichte Polens“, kontynuacja Roeppela, to węgielny kamień jego zasług i koronacja pracy życia. Doprowadził te dzieje do 1506 r. do Zygmuntowych czasów, ogarnął epokę mocarstwowego stanowiska Polski, gdy Rzeczpospolita w imię dynastycznych i politycznych haseł rozprzestrzeniała sferę swego działania po Karkonosze i za Dunaj. Rządy Kazimierza Jagiellończyka, to główne jego *tour de force*, ogromne usiłowanie i wykonanie oświetlenia wspaniałego momentu historycznego. Plastykiem i artystą w tych swoich dociekaniach i badaniach nie był znacznym, umiał jednak zastosować z niezwykłą umiejętnością aparat niemieckiej sumienności do analizy najzawikłańszych zagadnień i rozwiązywać je w sposób niesłychanie świetny i logiczny. Nacisk kładł szczególny na problemata polityki zagranicznej, wciskał się w tajniki robót dyplomatycznych, aby je wydobyć na światło i roztoczyć na szerokiej kanwie międzynarodowych stosunków. „Historja Polski“ jest jakby mozajką, jakby tysiącem drobnych monografij w szczegółach i szczególikach zamroczonych, oświetlonych jasnym pękiem żmudnych dociekań, gabinetowem docieraniem do prawdy. Czasem w opowiadaniu matactw krzyżackich

odzywała się w Carze kultura niemiecka, a raczej kultura stronniczości pruskiej. Widział on w tych spaczonych rycerzach Marji Panny, zarodek teutonizmu i pradziadów pruszczyzny, a w obec tego nie zdobywał się zawsze na takie akcenta potępienia ich moralności, jak n. p. z polskich dziejopisów, Szajnocha. Za dziwne fatum czy zbieg okoliczności uważać należy, że najlepsze zbiorowe dzieje Polski wyszły z pod pióra niemieckiego, że te dzieje, pomimo pewnych lub niektórych przestarzałości, są do dziś ostatnim wyrazem nauki. Caro dotykał w monograficznych rozprawach niejednego tematu z zakresu przeszłości Polski; do najciekawszych należy: „Halszka i Beata", szeroka opowieść o tragicznych losach Halszki z Ostroga, córki Beaty Kościeleckiej, rzekomo przez pochodzenie matki, wnuki Zygmunta Starego. Nietylko piórem wskrzeszał imię nasze, szerząc znajomość spraw historycznych Polski zagranicą, czynił to także, jako profesor uniwersytetu wrocławskiego, obierając, jako przedmiot wykładów, temata z Jagiellońskiego przeważnie okresu. Zeszedł z nim do grobu pisarz i uczony dużej miary, a jeden z rzadkich, pamiętających o nas. Po nim — został może jeszcze jedyny we Francji Sorel, wymawiający zawsze śmiało imię Polski... *E. Ł.*

Z okazji odsłonięcia pomnika Mickiewicza we Lwowie.

Odsłonięto pomnik, który się, ogólnie biorąc podobał. Jest to jak na naszą sztukę rzeźbiarską dużo. Znać, że pomniki stworzone w Polsce w dobie ostatniej wydoskonaliły już wyobraźnię i dłoń artystyczną.

Widać też pewne wyzwolenie z szablonu akademickiego. Kolumna Zygmuntowska w Warszawie natchnęła i twórcę i komitet duchem dobrej, miejscowej tradycji i uchroniła od tej beznadziejnej formuły włoskich pomników, która panuje obecnie niepodzielnie, a której wyrazem jest podstawa zazwyczaj ciężka, nieproporcjonalna, do małej stosunkowo postaci człowieka u szczytu.

Kolumna jako znak sławy i czci większej zazwyczaj panowała w sztuce w dobrych jej czasach. Była ona ulubionym znakiem trwałej sławy u Rzymian, tych mistrzów w sztuce stawiania pomników dla ludzi niezwykłego w ojczyźnie znaczenia.

Renesans ożywił tę formę na nowo, a późny kwiat odrodzenia zastygł w Polsce, w sławnym symbolu królewskiej Warszawy, w kolumnie Zygmunta III.

Więc forma dobrze została obraną.

Nawet i to, że kolumnę pozbawiono belkowania u szczytu, a zakończono Zniczem gorejącym u trójnoga, nawet i to zboczenie od tradycji, nie czyni ujmy pomnikowi.

Takie kolumny widnieją w Aleksandrji (Pompejusza) i w Brindisi, jako pozostałość po starożytnem rzymskiem imperjum.

Jeśli więc pragnę z powodu pomnika lwowskiego wypowiedzieć parę uwag, to nie dyktuje mi ich ani zgryźliwość krytyczna, chcąca widzieć dziury na całem, ani chętka mędrkowania w odniesieniu do gotowej i nie mogącej uledz zmianie rzeczy.

Będą to uwagi na wskróś ogólnej natury, które jak najdalej stoją od osobistej krytyki, na którą p. Popiel szczery i dzielny artysta nie zasługuje zupełnie.

Zacznijmy od drobniejszej rzeczy.

Chcę mówić o genjuszu zlatującym z niebios.

Anegdota pomnikowa, wyrażona w tym genjuszu każe mi widzieć go unoszącym się w powietrzu jak symbol niematerjalnej, duchowej siły.

W obrazie byłby więc on zaznaczeniem kształtu i figury, malarz starałby się go obrać z dotykalnych, ciężkich, materjalnych kształtów i dałby mu tę lekkość, jaka wedle pojęć ludzkich oznacza siłę duchową w przeciwieństwie do przewagi fizycznej.

W rzeźbie pełnej (nie w płaskorzeźbie) takie przedstawienie ducha jest niemożliwem.

Materjał ciężki, miedź, bronz, czy kamień, nadaje tu formie siłę ciężaru. Prawo Newtonowskie ciążenia występuje w całej pełni, i żadna potęga nie zmusi wyobraźni do złudzenia, że duch dający lirę Mickiewiczowi unosi się w powietrzu.

Każdy wie i czuje to doskonale, że genjusz poezji przymocowany jest bokiem do kolumny, a ponieważ gwoździa nie widzi, przeto uczucie niepokoju, jakie wytwarza potężna bryła bronzu, przylepiona do boku granitowej gładkiej kolumny, zabija na długi czas wszelką wiarę w to, że się ma tu przedstawiony symbol duchowości wolny od praw, ogólnych ciążenia.

W odczuciu piękna logika wzięta ze świata rzeczywistego musi być zachowaną, inaczej wytwarza się zawsze nieporozumienie między artystą, a widzem, nieporozumienie, w którem nie zawsze

winnem jest tylko niewykształcenie artystyczne widza. Skąd jednak przyszło to źródło nieporozumienia co do duchowej roli genjusza i jego materjalnego w bronzie wyobrażenia w dziele p. Popiela.

Nieporozumienie to zdaniem mojem tkwi w tem, że dbano w pierwszej kompozycji nie tyle o rzeźbiarski, ile o malarski efekt.

Kolumna jest naprawdę arcydziełem malowniczości i jako obraz wygląda przepysznie, w rzeczywistości jednak ta suma zalet złożyła się na wadę, wyrażoną w przylepieniu bronzowej figury nadludzkiej do boku gładkiej, granitowej kolumny.

Wprawdzie artysta zaznaczył pasem na kolumnie obręcz niejako symbolizującą utrzymanie postaci w powietrzu, ale czy to wystarcza, aby pohamować uczucie niepewności co do losu genjusza, unoszącego się w przestworzu.

Uczucie to jednak będzie drażniące w początkach. Po pewnym czasie widz wyszkoli się w patrzeniu malarskiem na dzieło p. Popiela i przyzwyczai się do nienormalności położenia figury bronzowej, żartującej sobie na pozór z niewzruszonych praw dotyczących siły ciążenia.

Uwaga moja też ma głównie na celu odkryć źródło nieporozumienia, leżące w naturalnych gdzieniegdzie sprzecznościach środków malarskich i rzeźbiarskich, których należycie mojem zdaniem w dziele p. Popiela nie rozgraniczono. Ale to mniejsza.

Żadne dzieło sztuki nie może być absolutnie bezbłędnem. O wartości jego stanowi zawsze stosunek zalet do wad, a ten wypada w dziele p. Popiela niezmiernie korzystnie.

Jeśli jednak dotknę jeszcze jednej sprawy artystycznej, której treść da mi samo wyobrażenie Adama Mickiewicza na pomniku, to czynię to dla względów zasadniczych, niejako programowych, w odniesieniu do sztuki, zwłaczcza rzeźbiarskiej u nas.

Wiem, że poglądy moje zasadniczo się różnią od utartych formuł estetycznych w tej sprawie i dla tego nie stawiam zarzutu p. Popielowi z tego, że dał taki wyraz i taki ruch Mickiewiczowi, który mojem zdaniem nie odpowiada pojęciu polskiej rzeźby, powiedzmy dokładniej jeszcze, północnej rzeźby.

Mickiewicz p. Popiela to jest południowiec, o szerokim teatralnym geście, o pozie wyrażającej ów temperament człowieka południa, który najdrobniejszy stan duszy musi przedstawić ruchem ciała i gestem rąk szerokich.

Ta klasyczna akademickość wyrazistych ruchów postaci rąk i nóg i karku, które długi czas pod wpływem Włoch, owego ogniska sztuki rzeźbiarskiej nowoczesnej, panowała i panuje w Europie, jest niczem innem tylko przeniesieniem południowego włoskiego pełnego ruchu i temperamentu człowieka do dziedziny sztuki. Tak, jak szkoła dramatyczna starsza wymagała szerokich gestów na scenie, których my w życiu codziennem jako powściągliwy naród północy nigdy nie mieliśmy w tym stopniu, tak też i artyści nasi nieustannie kształcący się na wzorach włoskich nieświadomie wprowadzają ruchy i wyraz ciała włoski, albo w najlepszym razie francuski dla ludzi, którzy przecież z Włochami i Francuzami mniej mają cech wspólnych.

Trzeba sprawę sformułować jasno.

Kiedy u południowca dusza wyraża się w ruchu tułowiu, rąk, nóg i szyji, skurczach mięśni na twarzy, to u człowieka północy wszystkoześrodkowuje się głównie na wyrazie twarzy, a właściwie oczu. Ztąd artyści północy tak celują w portrecie, stąd taka wyrazistość twarzy u naszego Matejki, który w przeciwieństwie do Siemiradzkiego, Włocha w dekoracyjnem malarstwie, był na wskróś artystą północy o charakterze na poły średniowiecznym.

W sztuce dramatycznej, w malarstwie wyzwoliliśmy się już od formułek estetycznych akademicko włoskich. Solski i Kamiński tworzą już ludzi, których widzimy opodal nas, zwyczajnie wstrzemięźliwych w ruchach, a przerzucających punkt ciężkości gry na subtelne wyrazy twarzy i odcieni głosu, słowem ludzi północnych tak jak my wszyscy. W malarstwie dajemy już naszą przyrodę i nasze stany uczuć malarskich, już często wolnych od sosów nabytych w Monachjum, w Paryżu i w Rzymie, sosów sporządzanych na akademickiej rutynie estetyki włoskiej.

Tylko w rzeźbie tak trudno nam jeszcze stworzyć Polaka, tak wiecznie jeszcze mamy przed oczyma „teatralny“, ruch i gest będący jednak niczem innem tylko odbiciem kanonu artystycznego włoskiego w rzeźbie.

Nie ulega wątpliwości, że skromny powściągliwy Mickiewicz, ów człowiek wyrosły w sąsiedztwie brzóz i dębów litewskich nie miał ani trochę w sobie owej ruchliwości członków Włocha, kiedy wyrażał swoje uczucia, nie miał ich za życia, to po cóż mu dawać tę pozę w bronzie po śmierci. Jeszcze raz zastrzegam się, że nie myślę oto winić osobiście twórczości p. Popiela.

Wiem doskonale, że po jego stronie stoi rutyna akademicka w kształceniu rzeźbiarzy na „wzorach dobrej włoskiej i francuskiej szkoły“ oparta, a że za nim stoi uznana galerja znawców, mających

gotową estetyczną formułkę. A jednak mając cały szacunek dla jego umiejętności rzeźbiarskiej i wyszkolonego talentu ośmielam się twierdzić, że wolałbym widzieć Mickiewicza na tym pomniku bez teatralnej pozy i bez genjuszów, żebym go wolał widzieć pojętego prościej po ludzku, żebym w całości jego postaci i wyrazie twarzy spostrzegł owo zrośnięcie zupełne z ziemią północną litewsko-polską, która go wydała, ziemią, która nie znosi jaskrawie pojętych ruchów, bo widzi milczących i zamkniętych ludzi, których jedyną manifestacją uczuć jest twarz pełna wyrazu i nerwowo ściśnięta dłoń.

Niestety, zdaje mi, się że nie przekonam ani p. Popiela ani galerji znawców, jeśli piszę niniejsze słowa, to na to aby się porozumieć z tymi, którzy czują tak samo jak ja, ale boją się myśl swoją estetyczną głośno wyrazić.

Ja ją poddaję publicznej rozwadze w interesie przyszłej polskiej rzeźby, która prawie się dopiero poczyna. *Kazimierz Mokłowski.*

KNUT HAMSUN.

Odczyt na prowincji.

(Ciąg dalszy.)

Czekałem długie pół godziny: nikt nie przybył. Wyszedłem do biletera, pytając go, co on o tem sądzi. Niewiele się dowiedziałem, ale uspokoił mnie. A mianowicie on sądził, że pogoda nie sprzyjała dzisiejszemu odczytowi, ludzie bowiem nie lubią wychodzić z domu, gdy tak leje; — zresztą — dodał — przeważna część czeka na ostatnią chwilę.

Więc czekaliśmy.

Nakoniec zjawił się jakiś jegomość, ociekający deszczem, zadyszany. Kupił bilet za pół korony i wszedł.

— Schodzą się — szepnął bileter i skinął ku mnie głową życzliwie — ludzie mają głupi zwyczaj schodzić się tłumnie w ostatniej minucie.

Czekaliśmy. Nikt więcej się nie pokazał. Wreszcie z sali wyszedł mój jedyny słuchacz, mówiąc:

— A to psia pogoda!

Byłto adwokat Carlsen.

— Obawiam się, że nikt dziś wieczorem nie przyjdzie; leje formalnie! Spostrzegł moją zafrasowaną minę i dodał: Przewidziałem to; barometr niezmiernie szybko opadał. Dlatego odradzałem panu...

Bileter nie przestał wierzyć w najlepszy dla mnie wynik.

— Poczekajmy jeszcze z pół godziny — rzekł. — Przecież, u licha, przyjdzie chociaż z dwudziestu, trzydziestu ludzi!

— Nie sądzę — odezwał się adwokat, zapinając płaszcz od deszczu.

— Aha, póki pamiętam! — rzekł, zwracając się do mnie — naturalnie, za lokal pan nie zapłaci.

Zdjął kapelusz, skłonił się i wyszedł.

Bileter i ja czekaliśmy jeszcze pół godziny, omawiając szczegółowo sprawę. Nieprzyjemna była historja, czułem się niezwykle upokorzony. W dodatku adwokat zostawił półkoronówkę, którą mu należało zwrócić. Miałem ochotę pobiegnąć za nim, ale wstrzymał bileter.

— Ja sobie ją wezmę, w takim razie pan doda mi tylko pół korony.

Ale dodałem mu całą koronę. Wszak wiernie stał przy moim boku do ostatniej chwili — umiałem to ocenić. Podziękował mi też serdecznie i podał rękę na pożegnanie.

Wracałem do domu jak zbity. Rozczarowanie, niemal upokorzenie złamało mnie; bezmyślnie wlokłem się ulicami, nie wiedząc, gdzie idę. Na dobitek złego nie miałem środków na opłacenie jazdy powrotnej do Chrystjanji.

Deszcz padał dalej.

Wtem znalazłem się pod jakimś wielkim domem; z ulicy dojrzałem okienko biletera w sieni. Byłto dom Związku robotniczego. Od czasu do czasu wchodził jeszcze jakiś spóźniony gość, kupił bilet u okienka i znikał w wielkich drzwiach, wiodących do sali. Zapytałem biletera, czy dużo jest publiczności.

— Niemal pełno — odpowiedział.

Nędzny dyrektor małp odniósł nade mną świetne zwycięstwo.

Wsunąłem się więc do swojego lochu. Nie jadłem, nie piłem, lecz natychmiast ułożyłem się cichutko.

W nocy zapukał ktoś i wszedł jakiś człowiek. Niósł on świecę w ręku.

Był to dyrektor.

— Jakże się udał odczyt? — zapytał.

W innych warunkach byłbym chłopa wyrzucił za drzwi, ale w tej chwili byłem zanadto złamany, aby się zdobyć na ostre wystąpienie, odpowiedziałem mu tylko, że odwołałem odczyt.

Uśmiechnął się.

Pogoda nie sprzyjała wykładowi z literatury pięknej — objaśniałem go. — Sam to musi uznać.

On wciąż się uśmiechał.

— Zapewne pan spostrzegł, jak bardzo spadł barometr? — dodałem.

— Ja miałem szczelnie wypełnioną salę — odrzekł. Teraz przestał się uśmiechać, natomiast przepraszał, że mi przeszkadza, ale ma interes.

Interes to był szczególniejszego rodzaju: przyszedł ofiarować mi znowu posadę objaśniacza swoich przedstawień.

Uczułem się głęboko dotknięty, więc poprosiłem go stanowczo, aby nie pozbawiał mnie spoczynku nocnego.

— Możemy przecież porozmawiać o rzeczy — odezwał się. Tłumaczył mi, że mieszkaniec tutejszy, którego wynajął do „wykładania“ jest ogólnie znany. On sam, dyrektor, miał szalone powodzenie, pokazując swoje antispirytystyczne sztuki ale drammeńczyk wszystko zepsuł. „Patrzcie! to Björn Peterson! — zaczęli wołać; — skądeś ty przyszedł do borsuka?“

A Bjöm Peterson według programu mówił im, że to wcale nie borsuk, lecz hyena z kraju Buszmenów, która pożarła już trzech misjonarzy. Wtedy publiczność oburzona zaczęła krzyczeć, żeby się nie ważył drwić sobie z nich.

— Nie rozumiem tego — dziwił się p. dyrektor — tak mu dobrze poczerniłem twarz i nałożyłem ogromną perukę, a jednak go poznali.

Nic mnie to wszystko nie obchodziło i odwróciłem się do ściany.

— Pomyśl pan nad tem — powiedział jeszcze na odchodnem dyrektor. — Może ściągnąłbym się nawet i do sześciu koron, gdyby pan się dobrze sprawił.

Nigdy w życiu nie poniżę się do takiego zajęcia, jakie mi proponował dyrektor — zakląłem się w duchu. — Przecież człowiek posiada jakiś honor!

Nazajutrz przyszedł do mnie dyrektor i prosił, abym przejrzał wykład o zwierzętach. Może zechciałbym poprawić tu i owdzie, upiększyć język, zapłaci mi za to: da mi dwie korony.

Mimo wszystko podjąłem się tej roboty. Przecież to z mojej strony poniekąd dobrodziejstwo wobec człowieka, a praca, można powiedzieć, literacka. A przytem potrzebowałem tych dwóch koron. Ale prosiłem go usilnie, by zamilczał o mojem współpracownictwie.

Pracowałem cały dzień, przerobiłem wykład od początku do końca, włożyłem dużo uczucia i dowcipu w opis, wyposażyłem go hojnie w porównania i w ten sposób zajęcie moje dla pracy wzmagało się. Była to prawdziwa sztuka zrobić tak wiele z tych biednych stworzeń. Gdy wieczorem odczytałem elaborat dyrektorowi, oświadczył mi, że jak żyje nie słyszał przemowy, któraby takie sprawiała wrażenie. W dowód uznania dał mi trzy korony.

To mnie wzruszyło i dodało otuchy. Znowu począłem wierzyć w swoje literackie powołanie.

— Gdybym tylko mógł znaleźć godnego tej mowy oratora! — westchnął p. dyrektor. — Tu niema takiego.

Zacząłem się nad tem zastanawiać. W gruncie przykra to rzecz, aby ladajaki Björn Peterson brał się do takiej wypracowanej mowy i fuszerował ją nędznem odczytaniem. Nie mogłem myśleć o tem spokojnie.

— Może zdecydowałbym się wygłosić tę mowę, ale pod pewnemi warunkami.

Pan dyrektor podchwycił:

— Jakież warunki? jakież? Dam panu siedem koron.

— Dobrze. Ale najgłówniejsza rzecz, aby tylko między panem i mną pozostało, kto jest owym mówcą.

— Ślubuję.

— Bo przecież musi pan rozumieć — zacząłem — że człowiek mojego zawodu nie może być osławiony jako objaśniacz zwierząt.

— Naturalnie, rozumię to doskonale.

— I gdyby nie to, że wykład jest właściwie moją wyłącznie pracą literacką, nigdybym się niezdecydował.

Rozumie się i to mu także było zupełnie jasne.

— A więc rzeczywiście gotów jestem oddać panu tę usługę — zakończyłem.

Pan dyrektor podziękował mi.

Gdy uderzyła siódma, udaliśmy się do Związku robotniczego. Miałem zobaczyć zwierzęta i przyuczyć się obchodzić z niemi.

Okazazało się, że były to: dwie małpy, żółw, niedźwiedź, dwa młode wilki i borsuk.

O wilkach i borsuku nie było w moim wykładzie ani słowa, natomiast bardzo dużo o pewnej hyenie z kraju Buszmanów, o sobolu, o łasicy „znanej z Biblji“, jako też o ogromnym amerykańskim niedźwiedziu. O żółwiu wymyśliłem paradny dowcip, że jestto wielki pan, który żywi się wyłącznie prawdziwą żółwią zupą.

— Gdzież jest soból i łasica? — zapytałem.

— Tu! — odparł pan dyrektor i pokazał mi wilki.

— A hyena?

Wskazał bez namysłu na borsuka, mówiąc:

— Oto hyena.

Gorąco mi się zrobiło z oburzenia i zawołałem:

— To nie uchodzi! ależ to oszustwo! Ja muszę wierzyć w to, co mam ogłaszać, to musi być moje najświętsze przekonanie!

— Nie spierajmy się o taką drobnostkę — uspakajał mnie pan dyrektor.

Wyjął z kąta flaszkę wódki i częstował mnie. Aby mu dowieść, że nic nie mam przeciw jego osobie, lecz przeciw jego nieczystym sprawkom, przyjąłem i wypiłem.

On nalał sobie także.

— Nie wtrącaj mnie pan w nieszczęście! — prosił. — Mowa jest taka piękna, zwierzęta też wcale niezgorsze; rzeczywiście, spojrzyj pan tylko, jaki wspaniały niedźwiedź! Żeby tylko jeszcze pan wygłosił mowę, a wszystko będzie dobrze.

Wtem zaczęli się już pojawiać ludzie na sali, a pan dyrektor niepokoił się coraz bardziej. Los jego był w moim ręku i nie byłoby godziwem nadużywać mojej władzy. A przytem spostrzegłem niepodobieństwo wprowadzenia licznych poprawek w tak krótkim czasie; prócz tego wprost niemożliwe było, aby ktokolwiek potrafił z tem samem uczuciem opisywać życie borsuka, jak hyeny krwiożerczej. Przez poprawki straciłoby moje literackie dzieło nieskończenie wiele. To też oświadczyłem panu dyrektorowi.

Zrozumiał odrazu. I znów mi nalał, a ja wypiłem.

Przedstawienie się rozpoczęło przed nabitą salą; antispirytysta pokazywał sztuki, którychby żaden djabeł nie zdołał pojąć: wyciągał z nosa chusteczki, znalazł chłopca żołędnego w kieszeni jakiejś starej kobiety siedzącej na sali, sprawił, że stół chodził po sali, chociaż go nikt nie dotknął, nakoniec zamienił się pan dyrektor w ducha i zapadł pod ziemię. Publiczność była oczarowana i tupała nogami z zachwytu.

Nadeszła kolej na zwierzęta. Pan dyrektor przyprowadził je jedno po drugiem, a ja miałem je opisywać.

Odrazu zrozumiałem, że powodzeniem nie prześcignę pana dyrektora, ale miałem nadzieję, że prawdziwie wykształcona część publiczności zainteresuje się moim wykładem. I nie zawiodła mnie nadzieja. Po pokazaniu żółwia, zostały mi tylko zwierzęta lądowe; zacząłem wtedy od Noego, który wziął z sobą po parze wszystkich zwierząt niemogących żyć w wodzie. Ale jakoś mi nie szło, publiczność straciła humor. Sobol i łasica nie doznały należytego uznania, chociaż opowiadałem, ile to tych kosztownych skórek miała na sobie królowa Saba, gdy odwiedzała Salomona. Czułem jednak, że idzie coraz lepiej; rozgrzany przedmiotem zaczerpniętym w Biblji i dwoma kieliszkami stałem się wymownym, porzuciłem notatki i mówiłem z pamięci, a kiedy skończyłem, zawołało kilka głosów w głębi sali „brawo“ poczem cała sala zaczęła klaskać.

— Za kurtyną jest wódka — szepnął mi pan dyrektor.

Wszedłem tam i znalazłem: na stole stała flaszka. Przysiadłem na krześle. (D. n.)

Tłum.
J. Klemensiewiczowa.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Gospoda pod „Królową Gęsią-Nóżką“* przez Anatola France. Tłum. Jan Sten. Lwów. Polskie Tow. nakładowe 1904. Omawiając poprzedni tom wyboru pism Anatola France'a, które literaturze naszej stopniowo przyswaja p. Jan Sten, podnieśliśmy cechy talentu i sposoby pisania starego „akademika“ francuskiego. Podnieśliśmy przedewszystkiem lekkość i ten dobry, poczciwy kąt widzenia, który nawet sarkazm i satyrę rozbawi pogodnym optymizmem, nawet filozofję lekkim okrasi dowcipem. Stosuje się to również i do powieści wymienionej w nagłówku, która, mimo iż porusza cały systemat filozofji, a nawet okkultyzmu, rozswawolona jest takim zamaszystym dowcipem, jakby autorowi o nic innego nie chodziło, jak tylko o efekt humorystyczny. A mimo to, powieść wcale humorystyczną nie jest. Taki ks. Hieronim Coignard, który wykładał sztuki wyzwolone w kollegjum w Beauvais, a równocześnie romansował z właścicielką księgarni pod „Złotą Biblją“, potem jako sekretarz magnata hugonoty pisał różne przeciw religji pisma, układał katalog rękopisów biskupa w Seez, pisywał dla zarobku pamflety na aktorki, w więzieniu pocieszał się czytaniem dzieł Boetuisa i Cassiodora, ten ks Coignard, który w chwili rozpoczęcia się powieści jest pisarzem publicznym w budce na cmentarzu „świętych Niewiniątek“ i zakochanym pokojówkom pisuje po dwa szylingi listy mi-

łosne, jest bez kwestji figurą ogromnie komiczną, nie mniej przeto utrzymaną wiernie w stylu Ludwika XV. Cynik, rozpustnik, gracz, uczony przytem i niesłychanie biegły w pisarzach rzymskich i ojcach kościoła, kazuista, używa swej wiedzy i zdolności djalektycznej dla wytłumaczenia każdego swojego grzechu i sprośności i jedną ma tylko w umyśle niewzruszoną zasadę, to jest dogmat kościelny, po za którym nic się przed jego sceptycyzmem nie ostoi. Takimi byli ludzie naprawdę we Francji w epoce przedrewolucyjnej, albo też takimi jak mistyczny, na pół zwarjowany alchemik Astarac, lub chorąży cechu kucharskiego przesiadujący dwie godziny dziennie pod „Małym Bacchusem“ i wiele innych jeszcze figur, które na tle najwierniej schwytanego tła połowy wieku ośmnastego, przewijają się niby w kalejdoskopie, otwierając widok na świat inny, zamierzchły, po którym jednak z autorem bardzo chętnie się stąpa i którego duszę i pojęcia uczy się rozumieć, a barwę jego odczuwa.

Powieść, przez p. Jana Stena pięknie na język polski przełożona skrzy się nietylko dowcipem, nietylko maluje wiernie obrazek kultury danej epoki — ona także, tak mimochodem rozwiązuje wiele kwestji dziś jeszcze aktualnych, a to jej wartość i wpływ niepoślednio powiększa.

Fr. Jaw.

Rok 1794 (Berek Joselowicz), dramat na tle historycznem w pięciu aktach, oryginalnie napisany przez Zenona Parviego, Kraków 1904. Nakł. księgarni D. E. Friedleina.

Jest to szereg scen udramatyzowanych, odnoszących się do epoki Kościuszkowskiej. Na pierwszy plan wysuwa się szlachetna postać Berka Joselowicza żyda — pułkownika, syna jego Józefa, oficera wojsk polskich, Ruchli, karczmarki, narzeczonej Józefa i książę — zdrajca Poniński. Tło historyczne, na którem jawią się te osoby, odmalowane silnie, pewnie i z talentem.

Berek Joselowicz wraz z synem postanawiają obudzić ruch narodowy wśród żydów; wymowie Berka i urokowi jego postaci udaje się wkrótce przemienić pierzchliwe tłumy żydowskie w bohaterski pułk, nie szczędzący krwi pod Maciejowicami. Z niedolą społeczną idzie w parze i niedola bohaterów; zdrajca generał Poniński porywa Ruchlę i czyni ją swoją kochanicą. Pod wpływem ciężkich przejść dostaje Ruchla rozstroju nerwowego. Wpatrzona czujnie w przyszłość kraju, staje się Kassandrą, krukiem kraczącym nieszczęście. Wyrywa się z domostwa książęcego, gdzie ją więżą, wpada w środek rozentuzjazmowanego widokiem naczelnika mieszczaństwa warszawskiego i natchnionemi słowy wróży zgubę. Scena to piękna i wzruszająca. Na dalszych kartkach czytamy, że Ruchla uległa księciu, że go kocha, że czuje się unieszczęśliwioną jego wyjazdem. Dopiero widok Józefa dokonuje przewrotu; biedna dziewczyna uświadamia sobie w jednej chwili swój upadek i nędzę. Ginie z ręki sałdata moskiewskiego. Wizerunek Racheli jest ze szczególną dokładnością wykończony. Ale nietylko on — i inne osoby dramatu rysują się plastycznie, żyją, działają, ruszają się. Jest też na końcu i ładny obrazek nastrojowy; chłop i pacholę orzący ziemię w dniu bitwy maciejowickiej. Dramat napisany dobrze ze świadomością kompozycji i techniki pisarskiej. Obcych wpływów nie dostrzegłem żadnych — prócz Wyspiańskiego. Poeta wziął od Wyspiańskiego, rytm, sposób łączenia wierszy, przedewszystkiem zaś stylizację językową, polegającą na powtarzaniu pewnych wierszy. Umiał jednak autor, naśladując, być sobą.

T. Mi.

Adam Stodor: *Jawnogrzesznica*, Stanisławów, nakładem Romana Jasielskiego MCMV.

Nie pierwszy to utwór młodego poety. Pan Stodor ma za sobą już „Adorację“, nowele p. t. „Z cichych tragedji“ i „Atlantydę“. Z tych wszystkich utworów znamy jedynie „Adorację“. Wystarcza to jednak, ażeby ocenić postęp poety tak w samym ujęciu przedmiotu jak i w robocie artystycznej.

Dokonawszy takiego porównania, doszliśmy do przeświadczenia, że „Adoracja“ stała daleko wyżej. Były tam ślady i szczerego uczucia (gdzieniegdzie) i zwycięskiego łamania się z formą, szczególnie z trudnościami, jakie nastręcza rym i rytm. Gwiazdą przewodnią poety były w owym czasie poezje Kasprowicza, przedewszystkiem „Krzak dzikiej róży“. I rzeczywiście było coś z Kasprowicza w pierwszych utworach p. Stodora. Podobieństwo polegało przedewszystkiem na użyciu języka, mniej na doborze tematów. Czuć było tę samą trudność w wersyfikacji, jaką okazują dawniejsze Kasprowiczowskie utwory, tę samą zgrzytliwość w zestawianiu trudnych do wygłaszania wyrazów, to samo lubowanie się w nagromadzaniu spółgłosek; oczywiście jednak, że na sile i potędze tym utworom całkowicie zbywało. Były to bowiem rzeczy przeważnie c z y s t o osobiste.

Te same zewnętrzne cechy widoczne są i w „Jawnogrzesznicy“ p. Stodora. Treść znana z biblji; pan Stodor upiększył tę treść obrazami, opisami, które żywszego zajęcia nie budzą, bo z innych książek są nam już dobrze znane. Również i w spowiedzi „Jawnogrzesznicy“ brak nowych elementów psychicznych. Dodajemy do tego ciężki przeładowany barokowymi tropami i figurami styl, urywkowość bezcelową w kreśleniu pojedyńczych scen i obrazów — a dojdziemy do przekonania, że ostatni utwór p. Stodora jest dziełem, na ten raz przynajmniej... pozostawiającem wiele do życzenia.

Teodor Mianowski.

PISMA. *Poradnik językowy* zeszyt 10 i ostatni w IV. roczniku pojawił się z druku. Z komunikatu redakcji wynika, że wydawnictwo walczy resztkami sił... że... niema prenumeratorów. Dziwnem się to wydaje, że w obecnych czasach mało jest troszczących się o rozwój języka i o jego wydoskonalenie. A przecież „Poradnik“ spełnia to ważne zadanie, zarzuciłby chyba można, iż zbyt żywo zajmuje się wyrokowaniem o prawidłowości użycia wyrazów obcych i nie dość staje w obronie wyrugowywanych wyrazów swojskich i gwarowych, które warte są zachowania. Cywilizowane narody wyrzucają ze szkół grekę i łacinę, my wciąż zapożyczamy z tych języków wyrazy i wprowadzamy do naszej mowy, tak, jakby ona nie posiadała zdolności rozrostu na własnym gruncie.

K. Kr.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5